

Zamiast recenzji

Złote ręce i czarodziejski scyzoryk

Józef Pieprzyk

Aż dziw bierze, że tak cenne „drobiazgi” zostały wystawione w siedzibie Zarządu Wojewódzkiego Związku Samopomocy Chłopskiej w Poznaniu przy ulicy Mickiewicza 33, a więc w lokalu znanym prawie wyłącznie działaczom ludowym. Do tego Wojewódzka Wystawa Samorodnej Twórczości Ludowej nie została przez organizatorów należycie rozreklamowana. Przez pierwszych kilka dni nie było ani jednego afiszu, który by informował społeczeństwo Poznania o wystawie. Cicha, skromna, jakby cierpiała na kompleks niższości wobec wystaw organizowanych przez CBWA.

A zawiera ona naprawdę dzieła wysokiej klasy. Zaczynajmy od haftu. Dzięki serdecznej opiece ze strony Wo-

wódzkiego Wydziału Kultury (ob. Wiesławy Cichowicz) hafciarstwo osłabło bardzo wysoki poziom. Przypatrzmy się tiulom haftowanym przez dwie mistrzynie tej sztuki — gospodynie z Gminy pod Jarocinem. Dokładność, precyzja, a przy tym swoiste piękno nie pozwalają oderwać się oczom od kompozycji kryzysu i zapaski. Nie dziw więc, że **Helenie Biernatowskiej** przyznała komisja kwalifikacyjna drugą nagrodę, a trzecia **Maril Ignasiakowej**. Ołobok (pow. Ostrów) zaprezentowała **Maria Adamiak**, wystawiając czeplec z motywami ołobockimi (I nagroda). Ale niemniej piękne są tu hafty innych mistrzyń. Szczególną uwagę zwracają wstęgi ozdobione malowanymi motywami ołobockimi przez **Janinę Tarczyńską** z Uniejowa (pow. Turek), serwetki w postaci delikatnych rozgwiazdek **Janiny Szudry** z Biskupic (pow. Kościan) i **Jadwigi Lesińskiej** z Miłkowie (pow. Turek). Obok przepiękna powłoczka na poduszkę dziełką **Heleny Bączkowskiej** z Lutogniewa (pow. Krotoszyn). **Helena Bączkowska** wystawiła tu jeszcze piękniejsze dzieła swoich rąk, a mianowicie serwetki na okrągły stół. Jedną z nich komisja wyróżniła.

Większą sensację na wystawie stanowią wyroby ze słomy, a przede wszystkim pudełka **Bolesława Błahowskiego** z Kolonii Ostrów w powiecie kolskim. Ten artysta, dziś liczący już ponad osiemdziesiąt lat, przed wojną zbierał z sobą kilkadziesiąt takich pudełek i talerzy zrobionych ze słomy i wędrował po miastach województwa poznańskiego, łódzkiego, pomorskiego i warszawskiego, aby je zbyć. Na brak nabywców nie mógł narzekać. Niejedno pudełko powędrowało za granicę. Nie zdawał sobie sprawy, że sły w świat jedno z najpiękniejszych na świecie wyrobów słomkarskich. Oglądajmy jego dzieła. Robota więcej niż misterna — pełna wytwornej elegancji. A sama kompozycja! **Bolesław Błahowski**, głuchy i słaby, przybył na wystawę z dalekiej swojej pracowni. Trzy dni gościł w Poznaniu, pełen radości, że praca jego rąk do czekała się uznania profesorów poznańskich wyższych uczelni: prof. dr. Eugeniusza Frankowskiego, prof. E. Wasikowskiego i innych znawców sztuki.

Słomkarstwo ma tu jeszcze innych reprezentantów. Ołobok (pow. Ostrów) wystawił torby damskie, pudełka, koszyki. Bardzo ładne. Ołobok

ma już swoją tradycję przeszło stuletnią. W tej chwili produkuje taśmę ze słomy, z której przemyślni warszawscy robią kapelusze i inne drobiazgi artystyczne, nie pozwalając ośrodkowi ołobockiemu rozwinąć się należycie. Polecałbym swego czasu tę sprawę byłym władzom Ekspozytury Poznańskiej CPLiA, która nie wiedziała, że istnieje tam jakiś Ołobok. Wystawione prace świadczą o tym, że taka placówka mogłaby się rozwinąć. Tym więcej, że naokoło tej wioski leżącej nad Prosną rozciągają się bardzo ubogie ziemie. Zespół z Ołoboku otrzymał III nagrodę. II bowiem przyznano bardzo młodziutkiem, zaledwie parę lat liczącemu, zespołowi słomkarskiemu przy świetlicy w Gutowie Małym (pow. Września) za ładną kompozycję i piękne wykonanie wystawionych przedmiotów. Przy tej okazji parę słów uznania dla prac w drzewie 16-letniego **Olgierda Malentowicza** z tego samego zespołu. Ozdobiły one ściany lokalu wystawowego. Za przykładem zespołu gutowskiego mogłoby iść inne świetlice na szego województwa, rozwijając piękną sztukę słomkarską.

O namalowanych przez wiejskich artystów obrazach można by dużo napisać. Niech lepiej przyjdą na wystawę sami zawodowi artyści malarze! Technika wprawdzie prymitywna, ale jest w tych dziełach dużo samorodnego talentu, dużo serca i pracy. Syn makołnego chłopca z Bachorzewa (pow. Jarocin) — 17-letni **Kazimierz Gocki** przeżył w swoim życiu pierwszy wielki dzień, kiedy prof. E. Wasikowski z Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych zaproponował mu kupno dwóch obrazów dla swojej uczelni i sam pokazał mu pracownię tych, którzy kształcą się na zawodowych artystów plastyków. „Dzieci chłopie!”, „Kobieta z dzieckiem”, „Martwa natura” — pędzla K. Gockiego, mimo surowej jeszcze prostoty technicznej w pełni zasługują na pierwszą nagrodę jako bardzo „malarzkie”. Również bardzo udane obrazy w oleju i akwarele wystawili **Józef Schmidt** z Ołoboku (II nagroda), **Franciszek Jazyski** z Dopiewa (III nagroda).

Szczególnie rzeźby tych ludowych twórców gorąco polecam oglądać tym artystom naszego miasta, którzy nie tak dawno na jednej z dyskusji mówili o analfabetyzmie ludu w odniesieniu do plastyki. Nasze województwo, jeżeli chodzi o ten dział wielkiej twórczości artystycznej, może śmiało już konkurować

(Ciąg dalszy na str. 3)



Halina Lubaczewska (Ceśka), Helena Drzewiecka (Janoszka) i Antoni Jeśmontowicz (Julek Mienieć).
Fot. — A. Jeśmontowicz

„Niejeden znalazł swego sobowtóra...”

Prawdziwym sukcesem twórcy jest widzieć swe dzieło zrozumiane i przyjęte przez tych, dla których było przeznaczone. Autor, obecny na przedstawieniu swej sztuki z uzasadnioną emocją śledzi reakcję widzów, jej odruchy, komentarze i — stopień poddawania się czarowi literackiej fikcji.

Nic więc dziwnego, że przedstawienie współczesnej komedii wiejskiej „Niezły interes” Długosza i Maszewskiego w gromadzkiej sali w Kiszkuwice w powiecie gnieźnieńskim, było niemalym przeżyciem nie tylko dla mieszkańców wsi, ale i dla autorów, kierownictwa i zespołu artystycznego teatru gnieźnieńskiego.

Proste ławy kina wiejskiego oblepione były do ostatniego miejsca. Majowy wieczór ściągnął do sali kilkuset mieszkańców tej dużej wsi: chłopów, młodzieży, pracowników spółdzielni, nauczycieli.

Krętacki interes z młocarnią bogacza Wojdara, dzieje miłości Ceśki i „czarnego Julka” czy perypetie kowala Buczka, „wyzykiwacze mimo woli” — stopniowo wciągały widzów, każąc im to oburzać się na machinacje chciwego chytrusa, to cieszyć z forteli zadziornej energicznej kowalowej, czy też współczuć sercowym kłopotom córki biednej Janoszki. Raz po raz — salę przenikał zdrowy dreszcz serdecznego śmiechu, bo na scenie istotnie działy się rzeczy wesołe, a przy tym rozumiałe i bliskie. Kiedy przebiegła Buczkowa okpiwa chciwego zięcia-kułaka o jeden worek pszenicy, widzowie są całkowicie po stronie tej zaradnej i dzielnej gospodyni. Wojdar, obłudnik, obleśny acz niefortunny uwodziciel i duszgroz zostaje wobec wszystkich ośmieszony i nikt już nie ma wątpliwości, że zwyciężył zdrowy chłopski rozsądek i sprawiedliwość.

— Wojdar jest może za bardzo śmiały — stwierdził jeden z dyskutantów po przedstawieniu. Nie wiadomo, kiedy autorzy tę sztukę pisali. Ale dzisiaj Wojdar nie mógłby być taki butny wobec Julka-społdzielcy.

A oto inne głosy w dyskusji:

— „Kowal Buczek to ciekawa postać. Ale trudno uwierzyć, że tak szybko zmienił się wewnętrznie i zawrócił ze złej drogi. Cały czas jest człowiekiem miłym, ustypliwym, pod pantoflem swej żonki, aż tu nagle pod koniec zdobywa się na bardzo energiczne i decydujące kroki.

— „Kowalowie to rodzina bardzo prawdziwa. U nas w Sławnie też była taka gospodyni, która miała wielki wpływ na męża i trzymała go „pod pantoflem”.

— „Nie rozumiem jednej rzeczy: „czarny Julek” chce się żenić z Ceśką, ale wieczorami chodzi do dawniejszej sympatii Weronki, młodej żony kułaka,

a przecież to jest uświadomiony aktywista...”

Wiele jeszcze różnych uwag i pytań padło w swobodnej dyskusji. Prowadzili ją autorzy „Niezłego interesu” — R. Długosz i E. Maszewski. Wyjaśnili oni m. in., że sztuka napisana została przed dwoma laty, że przedstawili w niej wieś kielecką, dlatego też pewne rzeczy wydają się wielkopolskiemu widzowi niejasne, że dojrzenie świadomości kowala Buczka ma swoje wytłumaczenie w rozwoju fabuły sztuki, że wreszcie pozytywnego bohatera Julka chcieli przedstawić bez upiększeń, jak normalnego człowieka, a więc wraz z wadami i zaletami.

„Niezły interes” wystawiono również niedawno w Bojanowie, w powiecie rawickim. Oto wrażenia jednego z widzów z Gminy Wielkiej, spisane w liście do redakcji:

„... Kurtyna się podniosła. Cudnie! — westchnął ktoś po za mną. Rzeczywiście wspaniale. To pole z górą, jeden i drugi płóć żerdkowy, a z lewa ganeczka niczym przed wejściem do „ślacheckiego” dworka, a u proga ganeczka po więksiu ubrana kobiecina czyści jabłko i układa je w skrzynki. Pracowita kobiecina to jakby Machowiaczka z Gminy Wielkiej. Tylko takich dworów z ganeczką to u nas w okolicy nie ma. Nic nie szkodzi, bo są takie w Polsce. A sztuka przecież napisana nie tylko dla bojanowian. Na widowni jakby makiem posiał. Każde słowo, nawet szept ze sceny dociera do najodleglejszych kątów. Z zapartym oddechem śledzi publika akcję na scenie, nagradzając aktorów hucznymi oklaskami. Czasem obrazy w kinie nie zmieniają się w takim tempie jak w tej sztuce. A co najważniejsze, sztuka wzięta z życia dnia codziennego naszych wsi — Gminy Wielkiej, Trzeboza, Pakówki, Golaszyna i innych w Polsce mających swoich Wojdarów, Buczków, Janoszek, Walerkę, Ceśkę, Czarnego Julka no i Weronkę też. W przerwach miejscowi komentarzy omal ich palcem nie wskazywali. Szkoda tylko, że z okolicznych wiosek było tak mało widzów. Niejeden z nich znalazł swego sobowtóra na scenie...”

Bardzo dobrze, że gnieźnieński teatr ruszył z „Niezłym interesem” do wsi i mniejszych miasteczek. Sztukę tę trzeba pokazywać przede wszystkim chłopskiemu widzowi. Z wnioskiem takim wystąpiliśmy jeszcze w kwietniu, z okazji omówienia prapremiery w Gnieźnie. Naszą myśl podjął Zarząd Woj. ZSCH, wspólnie z dyrektorem teatru, za co wdzięczni im są widzowie, spragnieni dobrych, współczesnych komedii o tematyce wiejskiej.

J. M.

„Zniwiarz”
Rzeźba w glinie 15-letniej
Łucji Grzybowskiej z Poturzyca, powiat Jarocin.



„Macierzyństwo”
rzeźba w drzewie K. Kuźdowicza.
Fot.: K. Przychodzki

Świadectwo Irzykowskiego

Niedawno na łamach tygodnika literackiego zwierzał się pewien młody pisarz, że jego debiut powieściowy, 10 000 egzemplarzy, rozszedł się bez reszty w ciągu dwóch miesięcy. Oświadczeniem swym pisarz daje pośrednio do zrozumienia, że ów fakt statystyczno-wydawniczy pozostaje w ścisłym związku z walorami artystycznymi jego książki.

Dajesz się zwieść pozorom, przyjacielu! Gdybyś szczerze i kładł się pod naszym przeciętnym odbiorcą książek, przekonałbyś się, że do kupna skłania go bynajmniej nie zachwyty nad twoim kunsztem artystycznym i głębią myśli. To przychodzi znacznie później.

Ludzie stali się po prostu ciekawi, w najlepszym rozumieniu tego słowa. Wypływa nowe nazwisko — pragną dowiedzieć się, z czym ów człowiek przychodzi, co ma do powiedzenia i w jakiej formie. O, nie łatwo zniechęcić naszego nowego czytelnika! Słaby debiut! Cóż z tego — widocznie autor zbiera jeszcze doświadczenia, nie zdążył na razie okrzepnąć... — I nasz czytelnik czeka cierpliwie, żeby sięgnąć po drugą książkę, być może, dojrzałą.

Warto przyjrzeć się tłumowi na kiermaszu z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy. Przecież to nie zwyczajni klienci, ale przyjaciele książki, wdzięczni odbiorcy słowa drukowanego. Zżyliśmy się z tym zjawiskiem, spowszedniało ono w ciągu ostatnich lat. Aby dziś na chwilę uświadomić sobie znowu jego wagę i jakość — przypomnijmy, dla kontrastu, charakterystyczne świadectwo, jakie wydał w 1938 roku znakomity krytyk mieszczański, Karol Irzykowski.

Oto co pisze Irzykowski:

„Chodź, powiodę cię tam, gdzie zobaczysz dalszy los książki. Nie kupiona, stera... mizdrzy się jeszcze czasem do kupca w dniach Tygodnia Taniej Książki, zaleca się bezwstydną ceną — a potem idzie do tzw. kosza. Tym koszem są platformy na dwóch kółkach, takie, na jakich sprzedaje się jabłka, ewentualnie truskawki i kapustę. Tej stawy dla ducha pilnuje człowiek, który śledzi twój wzrok i natychmiast poleca: Anna Karenina Tołstoja — to dobre jest. Freud — to naukowe, bardzo ciekawe. O Piłsudskim — to wojskowe. Dickens — to bardzo śmieszne...”

Wątpię, czy dzisiaj taki doradca mógłby na ulicy przemawiać do publiczności. Coraz trudniej żerować na ignorancji. Przechodnie w większości świadomi rzeczy, szybko zmyliły mu głowę.

Dalej Irzykowski zwraca się do młodego pisarza:

„... Może i ty się tu znajdziesz (przy wózku), może sam kupisz swoją książkę, aby ją ofiarować swemu kamienicznikowi, w zamian za prolongatę komornego...”

To co pisze na następnych stronach, brzmi dla nas szczególnie interesująco właśnie w dniach oświaty:

„... Książka ma twardy żywot. Gdy się raz narodziła, nie można jej zniszczyć tak łatwo. Nawet w grobie czeka na chwilę wskrzeszenia, czyha u wrót nieśmiertelności. Prowadź cię do Domu Książki Polskiej na placu Trzech Krzyży, gdzie się zasilają wszystkie księgarnie. Kamienica w hałaśliwym miejscu, taka jak inne, ale w jej podziemiach jest cmentarz książki, o ile ten stan letargu można nazwać śmiercią. Głęboko, w długiej piwnicy ciągną się te składy, 50 metrów wzdłuż, 10 szerz. Odkrecając jedną lampkę elektryczną po drugiej, idziemy jakby kruzgankami jakiejs kopalni. Słupy, stalagmity, kaniony książek. Tu sterta nieposortowanych, tam bloki starannie i symetrycznie ułożonych, przypominają dachówki lub kafle przygotowane do budowl. Ładne to jest w tym zmroku. Czasem ogładasz wyłożone na grzbietach tytuły i nazwiska — i zdumiewasz się. To on! to ona! I nikt już nie żąda?

Zapasy beznadziejnie sprzedaje się na makulaturę lub do zawiązania śledzi. Albo daje się pod nóż, tnie się, pakuje w baloty po 25 kg spięte obręczami i wysyła razem z innymi zżykami do fabryki papieru. Bo najwznioślejszy zawód w tej branży, to papiernik. On zawraca cały proces wstecz, przerabia trud pokolenia w swoim czyścicu na papier niewinny, biały...” (Z książki „Lżejszy kaliber”).

Straszne słowa. Jak gdyby z zupełnie innej rzeczywistości. Czy zrozumie je młody słuchacz kursów wieczorowych, robotnik, wybierający przy niedzielnym stoisku popularny zarys astronomii, „Logike” Condillaca i na dodatek, dla poczynku — nowe, dobre opowiadania Ścibor-Rylskiego? Ba! Czy zastanowi się nad nimi pracownik Centralnego Urzędu Wydawnictw, który podpisuje właśnie listę nie wiadomo już których wydań Sienkiewicza, Tuwima, Dąbrowskiej, Wiktor Hugo, Rollanda, Tołstoja, Flauberta oraz tylu współczesnych polskich pisarzy, do których mamy przecież sporo pretensji...?

STEFAN RYMARZ



„Taniec włoszakowski”
Rzeźba w drzewie Leona Dudka z Włoszakowic (powiat Leszno).

Fot.: K. Przychodzki

Rozpoczynamy cykl artykułów związanych z tegorocznym jubileuszem sztuki filmowej.

REDAKCJA

W ramach świeżo ukończonego VIII Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Cannes odbyły się uroczystości związane z jubileuszowym rokiem kinematografii. Między innymi powtórzone pełny pierwszy program filmowy wyświetlany w podziemiach Grand Café w Paryżu w dniu 28 grudnia 1895 roku. Oto tytuły pierwszego zestawu filmów świata:

Kłótnia małców, Czerwone ryby, Przyjazd pociągu na stację, Pulk, Kowal, Partia kart, Trawy, Mur, Morze.

W parę dni później program został uzupełniony następującymi pozycjami:

Wyjście robotników z fabryki Lumière'a (twórcy filmu). Zwrót głowy. Przybycie członków Kongresu Fotografików do Lyonu, Śniadanie u Lumière'ów, Plac des Cordeliers w Lyonie, wreszcie pierwsza komedia filmowa „Ogrodnik” znany później pod tytułem „Oblany podlewacz”.

Wszystkie te filmy miały po 17 metrów długości, około 35 sekund wyświetlania! Cały „program” nie trwał dłużej niż 10 minut razem z przerwami na „zmianę szpuli”.

Pierwszy „dźwiękowiec”

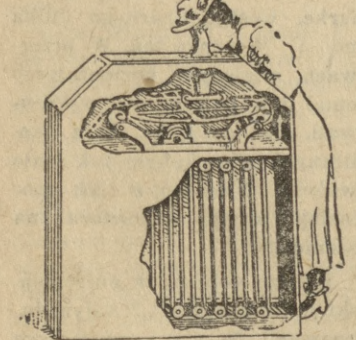
Pierwszego stycznia 1896 roku została otwarta pierwsza na świecie sala kinowa w Lyonie przy ulicy Republiki pod numerem 1. Jednakże prywatne pokazy wymienionych wyżej filmów odbyły się daleko wcześniej. Lumière'owie opatentowali swój wynalazek 13 lutego 1895 r. Pierwszy pokaz odbył się 22 marca 1895 na Kongresie Zachęty Naukowej w Paryżu, następnie 10 czerwca tegoż roku w Lyonie z okazji Kongresu Fotografików Francuskich. Na tym kongresie demonstrowano film dokumentalny i dźwiękowy — mianowicie rozmowę astronoma Jansena z deputowanym Lagrange. Słowo dochodziło do widzów przy pomocy głośników, które odtworzały dźwięki zanotowane na walcach fonografu.

Dwa dalsze pokazy odbyły się w Brukseli (październik 1895) i w Paryżu (16 listopada 1895) przed profesorami Sorbony, którzy orzekli, że... „zabawka” jest dość pocieszna, ale nie ma żadnej przyszłości”.

Taki sam wydawał się pierwszy werdykt publiczności. Bilety sprzedawano po 50 centymów i pierwszy dzień wyświetlania filmów przyniósł zaledwie 35 franków „dochodu”, a więc znalazło się zaledwie 70 chętnych... Już w połowie stycznia pierwsze kino w Paryżu przyniosło wynalazcom 2000 franków dochodu dziennego, czyli czterokrotną miesięczną pensję słabiej zarabiającego urzędnika!

Edison się nie poznał

W ciągu pół roku kinematograf stał się światową sensacją. Pierwsze filmy miały sze-



Aparat „kinetoskop” — wynalazek Edisona — służył do oglądania filmów przy pomocy okulara tak mniej więcej, jak dzisiaj ogląda się fotoplastikon. Wynalazek nie miał żadnego znaczenia handlowego.

rokość 24 milimetrów, dopiero w pół roku później przyjął się w Europie wprowadzony przez Edisona format 35 mm, ob-

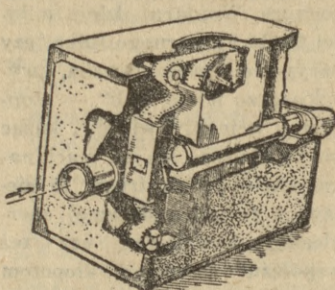
wiązujący do dzisiaj. Jednakże po 60 latach istnienia filmu rozpoczynają się obecnie próby przejścia na taśmę 55 mm szerokości, która zapewnia daleko bardziej precyzyjny obraz dzięki większej powierzchni naświetlenia. W pół roku po pierwszym pokazie fabryka braci Lumière w Lyonie nie jest już w stanie nastarczyć zamówieniom na kamery filmowe. Inżynierowie lumierowscy rezygnują z niewygodnego systemu „pazurów” przesuwających taśmę ruchem szarpanym w aparacie i przechodzą definitywnie na układ „krzyża maltańskiego” z perforacją taśmy według standardu Edisona. „Krzyż maltański” wynaleziony przez Grimoire-Samsona gwarantuje nie darcie się taśmy, którą pazury niszczyły w szybkim tempie.

Thomas Alva Edison był niewątpliwie jednym z najbardziej wydajnych wynalazców na świecie, ale był także znakomitym człowiekiem interesu, lubiącym reklamę wokół swej osoby. Biuro reklamy Edisona potrafiło wmówić całemu światu, że to on wymyślił żarówkę elektryczną, chociaż wcześniej wynalazcą był Łodygin, jednakże sam Edison nie poznał się na handlowej stronie wynalazku kinematografii. Zamiast starać się rozwiązać projekcję, jak to robili we Francji Lumière, nieco później w Niemczech Skladanowski i w Anglii Friese-Greene, Edison ograniczył się do produkcji aparatów zwanych „kinetoskopami” (patrz rycina), przystosowanych do oglądania filmu przez jedną osobę.

Pierwszy artysta taśmy filmowej

W tym okresie Francja panowała niepodzielnie na rynku europejskim i amerykańskim.

Edison musiał toczyć długotrwałą walkę najpierw z operatorami Lumière'a, a potem przemysłowca francuskiego Pathé, zanim bezwzględnie sposobami działania usunął fran-



Przekrój nieco uproszczonej kamery Lumière'ów. Warto wiedzieć, że ten aparat filmowy nadawał się z tym samym powodzeniem do nakręcania jak i wyświetlania filmów.

cuskich operatorów z Ameryki i stał się — na krótki czas — panem rynku amerykańskiego.

W okresie, w którym panowała kinematografia francuska, wymienić należy przede wszystkim pierwszego twórcę filmowego, który zrozumiał istotę kina, a zwłaszcza możliwości, jakie dawała taśma filmowa w zakresie fantastyki, poezji i tricków. Tym pierwszym artystą filmowym (scenarzystą, reżyserem, aktorem i twórcą atelier filmowego) był Georges Méliès. Zapomniany po latach i odnaleziony na krótko przed śmiercią, zmarł w Przytułku dla Zasłużonych Artystów pod Paryżem. Niedawno odbyło się odsłonięcie jego popiersia na cmentarzu z krótkim ale jakże wymownym napisem „Twórca spektaklu filmowego G. Mélièsowi 1861—1938”.

Po wojnie z długoletniego zapomnienia wyszli również bracia Lumière, dzisiaj także nieżyjący. W połowie czerwca obędzie się przemianowanie jednej z głównych ulic Lyonu na „Ulicę Braci Lumière”. Czy nie warto przy tej okazji pomyśleć o polskim twórcy kinematografii Kazimierzu Prószyńskim i nazwać jego imieniem jedną z tak wielu nowopowstałych w Polsce ulic?

(Dalszy ciąg za miesiąc).
LEON BUKOWIECKI



Rys. Ludomir Kapeczyński

Przed biurkiem Zakładów Metalowych zatrzymała się ciężarówka z budą, a czekający na trotuarze ludzie zaczęli się po kolei wspinać do samochodu. Przy ciężarówce od razu wytworzyła się wesoła, niefrasobliwa atmosfera, jakby uragajęca pasażerów pogodzie a zwłaszcza wiatrowi, który wymiótł rannych spacerowiczów z powrotem pod pierzyną. Dowcipkowano, przebuszczając kurtki, żartując i starszych. Wybuchano śmiechem. Młodzi ludzie podsadzali dziewczęta w nieprzemakalnych płaszczach, wskakiwali potem na wóz sami, posługując się kilkoma błyskawicznymi, wysportowanymi ruchami. Słęgano niezwłocznie po papierosy, których ogniki żarzyły się w ciemności wnętrza. Na przodzie wozu rozległa się melodia popularnej piosenki.

Dano znak do odjazdu, samochód huczał motorem, gdy nagle spod brezentu wychyliła się głowa mężczyzny w brązowym kaszkiecie.

— Stać, stać — rzucił do kierowcy.

Od strony miasta zbliżał się jeszcze ktoś.

— No, jesteś. Myśleliśmy, że nawalisz — zawołano żartobliwie.

Podszedł do wozu. Natychmiast wyciągnęło się doń kilkoro rąk, które pomogły mu wejść pod płachtę. W przełocie zobaczyłem jego podłużną twarz z wystającą dolną szczęką, na głowie miał szary kaszkieć, w ręku pakuneczek, zawierający pewno walówkę na podróż. Zniknął pod budą, którą chłostał deszcz zmieszany z krupami. Wilgotna kostka jeździła niemiarko w skąpym blasku dnia.

— Gotów! — krzyknął ten sam mężczyzna w brązowym kaszkiecie. „Star” drgnął i podskakując na kamieniach potoczył się przed siebie długą, prostą ulicą, której koniec rozmazywał się we mgle; opustoszała, tylko gdzieś daleko dzwonił tramwaj.

* * *

Nazajutrz chcąc napisać kilka słów o ruchu łączności udałem się do rady kadrowej w celu zebrania odpowiednich informacji. Towarzysz Kostecki uzbrojony w protokoły, instrukcje i wykazy obdzielił mnie szczerze wszystkimi niezbędnymi detalami, z których miałem zlepić artykuł. Padały nazwy wsi, organizacji społecznych, nad którymi sprawowano szefostwo, powiedziano to i owo o sporcie, stałych kinach, świetlicach i orkiestrze dętej w Borzęcinie, ponoć rewelacyjnie zgranej.

Weszło jeszcze kilku aktywistów związkowych i rozmowa potoczyła się dalej.

Z frekwencją było różnie.

Zdarzają się towarzysze, uważający niedzielne wyjazdy na wieś tylko za wycieczki krajoznawcze. Wśród gorliwych są i tacy, którzy w ten sposób pragnęliby się zasłużyć...

— Jako zasłużyć? — przerwałem.

— Ano — odpowiedziano mi — jeżdżąc, jak im trzeba nowego mieszkania; wtedy agitują, przemawiają, jednym słowem walczą. Kiedy dostaną przydział i klucze, wówczas kłaniają się w pas i tyle ich widzimy. Nie udzielają się... W nowych mieszkaniach zapuszczają sobie drobnomieszczańskie sadelko — dodano z przekąsem.

W tych okolicznościach padło nazwisko Kazimierza Nogaj. Zdradził je okrągły na twarzy, grubutki jak pulpecik towarzysz w szarym fartuchu.

— Jemu chodzi o to — klapnął ręką w gazetę na biurku.

Na pierwszej stronie pisma zwracało uwagę duże zdjęcie, na którym uwieczniona była robotnicza rodzina przy odbiorze „Pionier”. Ona pokazywała coś w „Świecie” chłopczyka i dziewczynę, pochylony nad ilustracją. Wszyscy byli świątecznie ubrani i uśmiechnięci. Tło stanowiła połowa szafy z CHPD, jakiś obrazek z owocami, makatka na ścianie ozdobionej przez malacza deseniem. Obok stolik, na haftowanej serwetce flakon z kwiatami. Pod zdjęciem podpis: „niedziela w nowym mieszkaniu”.

— Zapalił się do racjonalizatorstwa, chociaż przy maszynie nie wykazuje wielkiego sprytu. Zaspęje nas pomysłał: jak dotychczas, wszystko do kitu... — ciągnął pulpecik.

— Jak się wprowadzi do bloków, to pokaże nam figę... — pokazał na palcu — pewnie, że teraz wygodniej mu jeździć, aniżeli gnieść się w jednej klitce z kobietą i dziećmi.

— Szsz! — zaszeleścił ktoś ostrzegawczo. — O wilku mowa...

Na matowym, szklanym przepierzeniu oddzielającym pokój od korytarza, ukazała się ciemna sylwetka mężczyzny. Stał chwilę tak blisko mlecznej szyby, że można było dostrzec subtelności ostrego profilu, wystający dół twarzy i brodę. Rysy wydały mi się znajome. Cień przesunął się na szybie. Szarpnął klamkę.

Zbliżał się wolno do biurka. Nie omyliłem się, to był ten sam robotnik, którego w niedzielę widziałem wdrapującego się na samochód.

— Tu jest dla was gazeta — rzekł pulpecik — zapomnieliście ją odebrać.

Nogaj milczał, rzucając wzrokiem na zdjęcie. Chmurna twarz wypogodziła się, chociaż za chwilę przyoblekła ją melancholia.

— Psia krew, 40 lat na poddaszu, jak jaskółka — powiedział do siebie. — Z sufitu kapie, podłoga w proszku. Ot los — gędził.

— Badźcie spokojni. Niedługo. Już wam piec stawiają — rzekł Kostecki.

Tamten wpatrzył się w fotografię, jakby chciał zapamiętać wszystkie szczegóły. Wyszedł bez słowa, trzymając gazetę przed oczami.

* * *

Minał miesiąc. Pewnej nocy dzielił o tej samej godzinie co zwykle siedział do baru mlecznego na śniadanie. Pod biurkiem zakładów stała znajoma ciężarówka. A więc znówu gdzieś wyjeżdżał. Wiatr szarpał brezentem, rozwiwał go jak poły płaszcza. Spod płachty dochodził szmer wesołych rozmów. Widziałem pogodną twarz siedzących najbliżej wejścia. Samochody już dygotały motorami, gdy nagle spod budy wyjrzała głowa w kaszkiecie. Machał rękami w moim kierunku, jakby przynaglał do pospiechu kogoś za mną.

Odwrociłem się i zobaczyłem Nogaj. Na głowę wcisnął kaszkieć, spoza nogawek granatowych spodni wysuwały się rytmicznie czarne, lśniąca buty. Nowe buty na gumie, która jeszcze nie zdążyła się zawałać.

— No wreszcie — odezwano się żartobliwie z wewnątrz — myśleliśmy, że nawalisz. Aleś się wyleganczył, te lakierki zostawisz w rędzinie, uważaj...

Rzeczywiście, w tym uroczystym stroju wyglądał nieco sztywno.

Spod brezentu wyciągnęły się do niego ręce, ale on nie wsiadał.

Wyglądęła okrągła twarz. Poznałem grubutkiego towarzysza w szarym fartuchu. Teraz miał na sobie szarą kurtkę i nieśmiertelny brązowy kaszkieć.

— Właźcie! — krzyknął.

— Towarzyszu — zwrócił się do niego Nogaj — zwolnijcie mnie z dzisiejszego wyjazdu.

Rozmowy pod płachtą ucichły, jakby jego osoba znalazła się nagle w centrum zainteresowania.

— Dlaczego to? — tamten spytał dość ostro.

— Tego, no... bakał Kazimierz przestraszony tonem głosu towarzysza w fartuchu. — Zna złe się czuje. Za tydzień pojedzie na sto dwa...

— Cicho — rzucił pulpecik w głąb wozu, jakby na to tłumaczenie Nogaj wybuchła tam nagle jakaś wrzawa. — No, dobrze — zgodził się — ale następnym razem, pamiętajcie! — wsiadł w czerń pod płachtą.

Dostał nowe mieszkanie i już wszystko ma gdzieś — powiedział ktoś spod budy. — Z tą chorą żoną to jest lipa, moja widziela Nogajową dziś w mleczarni...

Ale Kazimierz nie słyszał już tych słów tylko wyrwał na pęty, aż się za nim kurzyło.

Samochód ruszył, podrygując na kociach łbach. On zaś wskoczył do tramwaju i pojechał w kierunku bloków, które białą świeżymi tynkami w perspektywie ulicy.

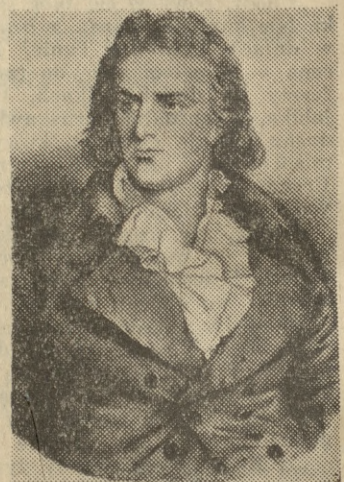
Następna „trójka” zawiozła mnie na osiedle. Tutaj powstawało nowe miasto — w miasteczku. Niektóre budynki jeszcze bez dachów, inne dopiero dawały się z fundamentów. Jeden z najbliższych domów był już widocznie zamieszkały, bo w oknach zauważyłem firanecz-

ki i pelargonie. Splukany deszczem nabierał krwawych rumieńców. Na podwórku walały się resztki rusztowania, kamienie. W dole po wapnie szklila się woda. Skręciłem w pierwszą lepszą klatkę. Windowałem się schodami bez poręczy z piętra na piętro, zatrzymując się przed drzwiami. Wreszcie znalazłem mosiężną tabliczkę. No, ale się pospieszył! Zatrzymałem się. Ogarnęły mnie refleksje: „wejść, nie wejść”. Trzeba znaleźć jakiś pretekst. Rozmyślając nadepnałem na coś miękkiego, szeleszczącego. Była to gazeta, listonosz pewno włożył ją w szparę drzwi — wypadła stamtąd. Teraz mogłem wejść. Powiem: „Dzień dobry, to wasza gazeta, prawda?” A dalej to już samo pójście. Zapukałem, bo dzwonek jeszcze nie założył. Ale nikt mi nie otwierał. Nacisnąłem klamkę, drzwi poddały się skrzypiąc lekko. Zapachniało farbą olejną, świeżym tynkiem. Przeszedłem cicho korytarz. Drzwi od pokoju były u góry oszklone, wspiąłem się na palce, zajrzałem. Siedzieli bardzo uroczysto pod głośnikiem, który chrząkał jakąś niezrozumiałą melodią. „Pioniera” jeszcze nie mieli. Ale za to szafę i to jaką! Błyszcząca politura, jasny orzech, z lustrem wielkości człowieka. Tak wyglądało ich tło, bo na gołej ścianie leżał jeszcze szorstki tynk. On z tą swoją szczęką wysuniętą do przodu trzymał w ręku „Świat”, drugą obejmował chłopczyka i dziewczynkę. Zona w wełnianej sukience ze szkarłatnym kwiatem na gorle opierała się o stoliczek, na którym w blaszanym garnuszku zółciły się tulipany. W pewnej chwili on unosił głowę znad papieru, oczy miał czerwone, wydawał się bardzo wzruszony. Wtedy ona pocałowała męża w okolicę ucha, a potem ramięm chusteczki wytarła mu „coś” na policzku. Tylko dzieci kręciły się niespokojnie, jakby znudzone tym niezwykłym obrządkiem.

Zrozumiałem wszystko — on musiał się nacieszyć tak, jak tamci z gazety. W ten sposób wyobrażał sobie pierwszą niedzielę w nowym mieszkaniu.

Teraz wiedziałem, że dotrzyma słowa, danego pulpecikowi.

W 150 rocznicę zgonu



Fryderyk Schiller w latach młodości, gdy był już znanym poetą.



W tym domku, znajdującym się w miejscowości Marbach, urodził się wielki poeta niemiecki.

PRAWIE 2,5 miliona hektarów obsadza się corocznie w Polsce ziemniakami — jadalnymi, przemysłowymi i tzw. sadzeniakowymi. Dają nam one przeciętnie od 120 do około 300 q z ha, w sumie więc tyle, że ani my, ani nasz inwentarz tego wszystkiego nie zdołamy spożyć. A warunki dla uprawy ziemniaków mamy doskonałe: — umiarkowany klimat, dostateczna ilość opadów — gleby typowo ziemniaczane.

Możemy więc ziemniaki eksportować. I — eksportujemy: trochę sadzeniaków, trochę ziemniaków jadalnych, ale najbardziej opłacalnym się eksport spirytusu, produkowanego z ziemniaków: — ze 100 kg ziemniaków przemysłowych wytwarza się mniej więcej 12—14 litrów spirytusu. Za 1 litr tego cennego płynu otrzymujemy około 3 litrów benzyny, co konieczne dla rozwoju motoryzacji. A spirytus jest też potrzebny i do produkcji sztucznych włókien i w wielu innych gałęziach przemysłu.

OD KILKU lat nasze ziemniaki atakuje nie byle jaki wróg — stonka. Przedziwny, bodajże jedyny w swoim rodzaju owad. Owad, który, praktycznie biorąc, nie ma żadnych wrogów, prócz... człowieka. Na szczęście, nasz kli-

Złote ręce i czarodziejski scyzoryk

(Ciąg dalszy ze str. 1)

ze słynnymi w całym kraju ośrodkami innych województw. Zdawałoby się, że rzeźbiarzy wiejskich będzie co raz mniej, tymczasem wystawa ujawniła ich dużą grupę. **Leon Dudek** z Włoszakowic pokazał nie lada dzieło: „Taniec włoszakowski” (I nagroda). Dudziarz i skrzypek tu grają, pary się kręcą, a każda postać potraktowana indywidualnie, odmienne ruchy, inne twarze, artysta zindywidualizował nawet uśmiech tańczących. Gratulujemy tu mistrzowi włoszakowickiemu! Nie tylko jemu. Oto 15-letnia **Lucja Grzybowska** pokazała dwie zastanawiające rzeźby w glinie: „Zniwiarza” i „Zniwiarke”. „Zniwiarz” to najwspanialsza podo bizna dziadka naszej Lucji. Sądzę, że przyznana II nagroda dla młodziutkiej rzeźbiarki ze spółdzielni produkcyjnej w Potarżycy (pow. Jarocin) będzie zachętą do zdobywania wiedzy ogólnej i pogłębiania nieprzeciętnego talentu.

Czarodziejski scyzoryk przyniósł na wystawę i inne piękne rzeczy — rzeźby chłopca ma łorolnego **Kazimierza Kuźdowicza** z Wielichowa, który ujawnił pełnię swego talentu. Na uwagę zasługuje tu też popiersie w drzewie „Wielkopolański” — **Józefa Berdyszaka** z Zawor pod Książem, godne ozdobienia reprezentacyjnych gabinetów. Są tu też płaskorzeźby w drzewie **Stanisława Kurzawy** z Klody. Bardzo pomysłowe, precyzyjnie wykonane, o bardzo pięknym ujęciu postaci. Nie chce się wierzyć, że to zrobił chłop z wioski położonej gdzieś pod Rydzyną.

Przed paru laty, kiedy **Władysław Stachowski** z Gostynia doniósł mi o śmierci arcyrzeźbiarza Jędrusia Majchrzaka z Barchowy, zdawało mi się, że pogrzeb tego artysty będzie po grzebom tej sztuki ludowej. Tymczasem, jak wykazuje wystawa, dzieło jego jak i jego poprzedników — **Walentego z Grabonoga (1740—1812)** i **Franciszka Nowaka z Raszew (1810—1894)** żyje i w pełni się rozwija. Tylko że spod scyzoryka i dłuta nie wychodzi już zadumany świętek nad dolą chłopską, ale pełen sił i wiary w przyszłość człowiek pracy.

Wyróżnione i nagrodzone eksponaty na wojewódzkiej wystawie zostaną przesłane do Warszawy na ogólnopolską wystawę sztuki ludowej pod hasłem „Twórcy ludowi witają dziesięciolecie Polski Ludowej”.

Wiele artystów naszego województwa pokazało tam naprawdę bogaty plon osiągnięty w latach, kiedy dzięki partii i władzy ludowej zostali otoczeni serdeczną opieką i dociekali się uznania.

JOZEF PIEPRZYK

P.S.: Trudno mi tu zrezygnować z wypomnienia WZGS-owi kwoty 500... zł, przekazanej na nagrody dla artystów wiejskich. Czyżby te olbrzymie instytucje nie stać było na większy wkład pieniężny? Prawie wszystkie nagrody ufundował Zarząd Wojewódzki Związek „Samopomocy Chłopskiej”, który sprawę tworów ludowych potraktował z takim zrozumieniem i sercem.

Szukamy JEJ WROGA

mat nie jest najlepszy dla stonki. Są kraje, gdzie ten zarłoczny i niesamowicie płodny chrząszcz daje do 4 pokoleń w roku, u nas — tylko jedno. Ale i to wystarczy, byśmy na walkę z nim wydawali kwoty, za które — w sumie wzięwszy — można by pobudować całe miasto...

W okresach największego rozkwitu stonki, nie u nas, ale w Ameryce Płn., chmary stoniek zatrzymywały... pociągi, uniemożliwiały przez dłuższy czas korzystanie z nadmorskich plaż. Rzecz jasna, w takich warunkach sadzenie ziemniaków stało się zbyt kosztowne, a nawet wręcz niemożliwe. Toteż w Ameryce zastąpiono częściowo uprawy ziemniaczane — polami kukurydzy.

Walka człowieka z owadem nie jest łatwa. Początkowo stonki zbierano ręcznie. Ta mroźcza praca nie dawała rezultatów: Potem wynaleziono „cudowne” DDT, które zabija omal wszystkie owady, ale... nie wszystkie stonki. Przede wszystkim nie te, które już zdążyły ukryć się w ziemi i to na 30 do 100 cm głęboko. A także nie te, które odznaczają się wybitną żywotnością. Ten przykry fakt stwierdzono i u nas — naukowo i dość adreśalnie — w Junikowie pod Poznaniem, gdzie mieści się dział walki ze stonką **Instytut Ochrony Roślin**. Działem kieruje jeden z najlepszych obecnie znawców „problemu stonki” — **prof. dr Węgorek**.

W Junikowie więc zaczęto prace nad osłabianiem biologicznym stonki, nad zmniejszeniem jej żywotności. I oto w tej pracy przyszedł z pomocą człowiekowi: małeńki grzybek, zwany **Boveria**. Jest go dość omal w każdej glebie. W czasie, gdy stonka — ale tylko ta osłabiona biologicznie — zapada w głębi ziemi w sen zimowy, grzyb ją atakuje, zabija i sam rozrasta się wspaniale na jej zwłokach. W pracowni junikowskiej można oglądać duże, płaskie szalki szklane z hodowlą **Boverii**. Na kilkunastu martwych stonkach grzyb tworzy jednolity kożuch, biały jak twaróg. **Boveria** hoduje się tutaj na wielką skalę. Jej zarodniki będą dodawane do środków owadobójczych, rozpylanych nad polami.

SEK jednak w tym, by stonki osłabić biologicznie. Wprawdzie systematyczne opylanie (z pokolenia na pokolenie) już przy czynia się do osłabienia żywotności owada, ale najbardziej mu szkodzi — „nieracjonalne” żywienie. A są nim takie odmiany ziemniaków, które stonki podtruwają. Mamy już takie: gdy je stonka zje, staje się słabsza, tak, że **Boveria** z łatwością daje sobie z nią radę. Ziemniaki w pełni stonkooporne, a więc takie, które bądź powodują śmierć stonki, bądź owad ten ich nie tknie — to jeszcze ciągle sprawa przyszłości. Bo aczkolwiek mamy już kilka i takich odmian, to albo dają one niejednalne bulwy, albo za mały zbiór, albo pod innym względem nie odpowiadają wymaganiom nauki czy praktyki.

Wśród nowych środków obronnych, już znanych, znalazły się także, które **STOSUJEMY PO RAZ PIERWSZY W ŚWIECIE**. Na przykład zeszlaczające doświadczenie na 5000 ha, obejmujące 4 gminy w powiecie szamotulskim (woj. poznańskie). Wprowadzono tu pola chwytne — ziemniaczane, pulankę na stonki. Dokładne badania biologii i ekologii owada wykazały, że wychodzi on z ziemi trochę wcześniej,

przed wschodami ziemniaków. Na polach chwytnych posadzono podkiełkowane już ziemniaki 25 kwietnia, a normalne sadzenie przesunęło o miesiąc później. Na polach tych, stanowiących 10 procent arealu ziemniaczanego, wychwytało 31.000 stoniek. Gdy normalne sadzenie przeprowadzono w maju, już stonki na polach tego arealu było około 70 procent mniej, niż w ub. roku i — niż w sąsiednich powiatach, w równej mierze dotychczas atakowanych przez tego szkodnika.

Tylko... 25 maja to zbyt późna data dla sadzenia ziemniaków. Trzeba więc wyhodować takie odmiany, które dobrze zniosą późniejsze sadzenie lub stosować takie środki agrotechniczne, które przy późniejszym sadzeniu nie spowodują strat w plonie. Wciąż więc szuka się nowych metod przeciw stonce.

W ostatnim kwartale ub. roku polski przemysł chemiczny zaczął produkcję nowego środka owadobójczego pod nazwą **Gamatox**. W jego skład wchodzi sześcioclorok benzen (HCH) oraz nośnik: kreda, talk lub kaolin.

Gamatox zabija owady szybciej i jest kilkanaście razy silniejszy od DDT. A zabija i owady w glebie. Do zwalczania stonki trzeba go 25—30 kg na 1 ha. Ponadto, jak wykazały badania nad działaniem HCH **Leninradzkiego Instytutu Ochrony Roślin**, środek ten ma dodatni wpływ na rozwój pożytecznych bakterii w glebie i — gdy go nie ma za wiele — działa regulująco na wzrost, tak jak niektóre syntetyczne substancje wzrostowe.

Wciąż ideal? — **Nie. Jeszcze nie. Gamatox** ma przenikliwy, wstrętny zapach pleśni, a woń ta udziela się — i to mocno i długo — nie tylko ziemniakom, ale i burakom i czereśniom w sadach itd. Jeszcze przez 2 do 3 lat po opyleniu pola ziemniaki czuć **Gamatoxem**.

Wciąż jeszcze nie jest ideałem, ale — będzie. Przewiduje się bowiem w najbliższych latach produkcję **Gamatoxu** bez zapachu.

A tymczasem? Tymczasem wszystkie dostępne środki walki ze stonką są dobre i musimy je stosować. Tymczasem też — jak stwierdza **dr Węgorek** — nie tylko unieśliśmy kłeski z powodu stonki, ale nawet nie dopuściliśmy do obniżenia plonu ziemniaków w kraju. A ponadto mamy już pewność, że stonka nigdy u nas „kłeszkowo” nie wystąpi.

J. GUMOWSKA



Zdjęcia: E. Kitzman — Tekst: f. h. n.

Niełatwa sztuka nowelistyki

Wiem, że **Leszek Prorok**, autor tomu opowiadań „Krewniacy” wydanego przez PIW dwa miesiące temu, od razu zaprotestuje. „Jak to, czemu piszecie w tytule o nowelistyce, skoro na książkę składają się tylko opowiadania?”. Otóż właśnie. Granica między nowelą, zbudowaną według klasycznych wzorów — a rozpowszechnioną współcześnie tzw. „małą formą” opowiadania jest dość płynna. Chyba świadomym stroniczno powiem, że po prostu wyjątkowo świetnie zbudowane opowiadania są nowelami, a jej gorzej wyrośnięci bracia — opowiadaniem.

W tym stwierdzeniu, opartym o trudną, tkwi od razu ocena. Bodaj żadnego z ośmiu opowiadań nie można włożyć do szufladki nowelistycznej. To pewne.

Czy dlatego, że wybrane przez **Proroka** tematy lub konflikty są tego rodzaju, iż nie pozwolą się zamknąć w rygorystyczne gatunkowe? Chyba nie. Wewnętrzna rozterka **Elzy** z „Willi Waldfrieden” albo losy **Helenki** z opowiadania „Więcej światła!” aż się proszą o bardziej zdyscyplinowaną konstrukcję. Tymczasem **Leszek Prorok** rozlewa swą fabułę, zamazuje intencje, nie spiera akcji i konfliktów. Oczywiście, można od razu odpowiedzieć — czasem właśnie rozlewność jest pożyteczna. Gawędzarskie, słachetne „gadulstwo”. „Białe laski”, jest podporządkowane generalnemu celowi, który zostaje spełniony. Czytelnik, zakończysz swój kontakt ze świadomością ociemniałego, może odważyć się powiedzieć, że odkryto przed nim coś nowego, niemal egzotycznego. Narracja odgrywa po tym dość istotną funkcję społeczną; porządkuje stosunki między światem widzianych a ociemnianych. Niełatwie „Biała laska” to sukces autora.

Nie wiadomo jednak, dlaczego zostało napisane opowiadanie „Bunkry”, skoro brak w nim innego konfliktu, poza sprawą u traty wzroku przez bohatera. I znów w materiale faktograficznym, który **Prorok** zebrzał, tkwi jakiś zarodek akcji, jednak nie-rozwinięty, zagubiony. Za taki uważam kwestię listu, który bohater otrzymuje na chwilę przed walką, a straciwszy wzrok, nie może go przeczytać. Oczywiście, ten drobny epizod to jeszcze zbyt

mało na klasyczną nowelę, lecz do niego można by dobudować jeszcze bardzo wiele. Niestety — nie dobudowano.

„Gorliwość”, drukowana w prasie poznańskiej (jak i „Biała laska”), razi łatwotkim zakończeniem. Tutaj z kolei autor nie postarał się o motywację decyzji naczelnika — biurokraty **Wyglada** do wszystkiego na pospieszną relację, zapewnienie czytelnika: — „o, tak właśnie było, przyjacielu” w owym 1946 roku, gdy szabrownicy grasowali na Ziemiach Odzyskanych”. Ale bardziej wymagający „niewierny” czytelnik zapyta przecież: — „dlaczego tak było? dlaczego uczciwi urzędnicy spotkali się z niesprawiedliwą represją?” — i na te pytania nie otrzymuje odpowiedzi w „Gorliwości” — co właśnie przesądza o anemii tego utworu. Podobnie jest w „Wodewilu dyrektora”, który znalazł już czytelnika „Głosu” (był drukowany przed mniej więcej rok). Owszem w tym opowiadaniu widać dużą znajomość realiów, jaką wykazuje **Prorok**; amatorski ruch teatralny jest tu pokazany z humorem, do brotliwym, łagodnym. Nie ma w tej bezpretensjonalnej opowieści ani pieprzu ani papryki, ani innych gastronomicznych akcesoriów, co można by bez wysiłku wybaczyć. Nie o satyrę chodziło **Prorokowi**. A o co? I tu pytanie znów zawisa w próżni. Może o relację, jak się montuje spektakl amatorski? To chyba zbyt blady zamysł, jak na literaturę nowelistycznej rangi. Owszem — jako reportaż — byłaby taka rzecz zupełnie interesująca bo autentyczna; jako literacka fikcja, cierpi na chorobę bezkonfliktowości. Niestety w tym utworze jest to chyba dolegliwość nieuleczalna.

Można by w ten sposób mówić o wszystkich utworach tomu — „Krewniacy” — zostawiam tę czynność zawodowym recenzentom. Wypada jednak uczynić parę uwag ogólnych o prozie **Leszka Proroka**, „jako takiej”. Zależy, że wszędzie tam, gdzie zastanawia się on nad człowiekiem, gdzie prowadzi od autorskiego komentarza przeżyć wewnętrznych swoich bohaterów, tam zdobywa dodatnie punkty; gdy zabiera się do epiki, do relacji bogatych w fakty wydarzeń — inkasuje punkty karne. Czasem tylko wśród

mało soczystej sprawozdawczości trafia się smaczny rodzynek. Ot, na przykład urzędnik **OUL** narzeka na swoją pracę w ten sposób: „Ludzie myślą, że **OUL** to kopalnia złota, a ja chwilami czuję się jak w handlu starzyzną”. Jakby mi kto resztki hitlerowskiej Rzeszy oddał w kommis...”. Gdy poszukać, będzie intelektualnego nadzienia nawet do syć dużo. Zastanawiałem się więc, dlaczego ono niknie.

Pierwszą przyczyną jest chyba dobór zagadnień. Większość ich posiada jakby to rzec, losowy charakter. Po prostu ludzie, do kłótni przez jakieś nieszczęście — ociemniał! pozbawieni rodziny, chorzy. Im właśnie wyraża autor współczucie. Czy jednak ta wrażliwość na ludzką biedę może wystarczyć do nowelistycznego charakteru utworu? Chyba może. Musi być jednak podbudowana jakimś dodatkowym tłem. Najbardziej wzruszające u twórcy naszego widać w polskiej literaturze — „Janko Muzykant” — nie jest tylko współczuciem dla nieszczęsnego, utalentowanego chłopca wiejskiego. Pokazuje on na ostre, tragiczne spicie społeczne. Podobnie u drugiego wielkiego pisarza epoki pozytywizmu. W „Michałku” w dymie ciemnego chłopca-analfabeta, pocziwinę, którego bohaterstwo do dziś wyciska nam łzy z oczu. Czy jednak tylko jego niezupełnie uświadomiona odwaga jest przyczyną naszego wzruszenia? **Bolesław Prus** nie ukazał nam gołego czynu nie analizował — jak to czyni wielu pisarzy zachodnich — „strachu jako takiego”, lecz rzucił drobne wydarzenia na szerokie tło społeczne. I to decydowało o trwałości literackiego pomnika, jaki sobie wielu utworów zbudował.

W „Krewniakach” większość utworów zbudowana jest na osobistym, emocjonalnym zaangażowaniu się autora w losy bohaterów. To literackie współczucie przesądziło często o wyrwanu z wydarzenia ze środowiska społecznego, które musi z sobą przynosić, poza osobistymi perypetiami, jakieś przeciwnie z sobą interesy i konflikty. O tym w „Krewniakach” głuch. Sądźmy, że w następnym tomie autor i te zjawiska dostrzeże.

JANUSZ LIKOWSKI

„MÓWI POZNAŃ”

Amy, słuchając programu naszej rozgłośni, nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego wielkiego wysiłku, jakiego wymaga opracowanie krótkiej nawet audycji. A ileż razy do roku trzeba wzmóc energię w pracy, jak choćby teraz w dniach Oświaty, Książki i Prasy, kiedy to radio, ta „mówiona” gazeta dnia codziennego, ma dla propagandy czytelnictwa tyle do zrobienia.

W tym roku poznańska rozgłośnia kończy za kilka dni dziesięciolecie swej pracy dla wyzwolonej ziemi Wielkopolski, dla Ojczyzny.

Kto by tam zliczył te wszystkie audycje w minionym okresie... tysiące, tysiące...

Spójrzcie (fot. 2), oto fragment biblioteki, przepraszam — taśmoteki, w której jedynie **Krystyna Bilska** i **Piotr Stanisławski** poznają po numerach **Mozarta**, **Ime Sumac**, **Aide**, **Melacrino**, **Kawecką**, **Robsona** czy **Ojstracha**. Im tylko wiadomo, że nr X to pogadanka o superfosforach, a Y to felieton **Leszka Proroka**.

Skoło już jesteśmy na wsi (superfosfory) — przysłuchajmy się dla niej właśnie nagrywanej audycji: „Z mikrofonem przez wieś” (fot. 3). Oto red. **Halina Hanelt** (pierwsza od lewej) i jej „wiejski” zespół omawiają ostatni fragment tekstu, by za chwilę nagrać „całość” na magnetofon. Teraz już nie wolno się mylić: chytą taśma czyha tylko na potknięcie, ale...

Spokojna głowa: reżyser **Jadwiga Jasiewiczowa** i realizator akustyczny (miks), **Ludomir Budziński** (fot. 1 — u góry) w izolacyjnej kabine, wyłapią ewentualne potknięcia wykonawców. Widzimy, że pani **Jadwiga**, sądząc z uśmiechu, bardzo jest zadowolona z przebiegu nagrania. Skupiony **Budziński** natomiast czuwa nad czystością dźwięków. Spokojna głowa: „Z mikrofonem przez wieś” i tym razem będzie dobrą audycją.

Jolanta Stasiakówna, red. audycji muzycznych, może o sobie powiedzieć, że muzykę ma w małym palcu (na zdjęciu - 4). Trzyma w tej chwili taśmę w ręku, z której niebawem, dzięki starszemu operatorowi w nagrywalni **Jerzemu Pelce**, popłyną tony...

Nie wiadomo jakie, bo dosyć włączył po radiowym studiu. Tu praca na całego, a my wizytą przeszkadzamy. Przyjdziemy jeszcze raz — za parę dni, z życzeniami na dziesięciolecie poznańskiego radia.





O jednym „żywym“ Krzysiu

Z przedszkola znowu dzisiaj
Przyszła skarga na Krzysia:
Ze zrobił dziurę w piłce,
Ze fartuszek rozdarł Miłce,
Ze zabawki popsuł cztercy,
Ze mówi: ić do cholelcy,
Ze do zupy piasku wyspał,
Ze trzeba by skarcić smyka.

Mamusia rzekła roześmiana:
Synek jest żywy, proszę pana.

Skarżyli się znów w szkole
Na wielką Krzysia swawolę:
Ze nie myśli o nauce,
I że często szyby tłucze,
I że klejem krzesał maże,
Ze zbił lampę kalamarzem,

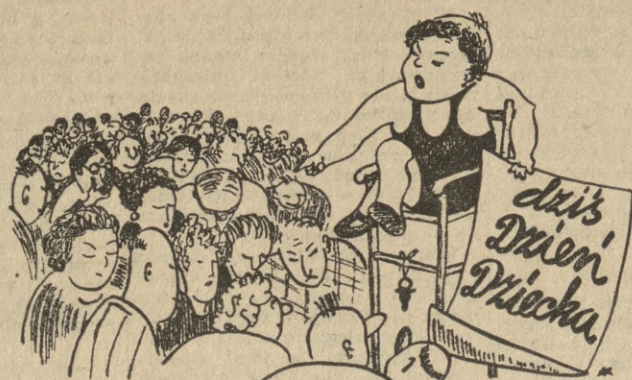
Ze kierownik dlań pokraka,
Ze trzeba skarcić chłopaka.

Tatusz orzekł: Wszak to rzecz znana,
Synek jest żywy, proszę pana.

Dziś rodzice łkając z cicha,
Uskarżają się na Krzysia:
Ze często bywa pijany,
Ze bumelantem jest znanym,
Ze pięścią wygraża matce,
Ze klnie i ryczy: tak chcę!
Ze się w występku nurza,
Ze trzeba skarcić łobuza.

Czy niezbyt późno narzekamy,
Ze był tak żywy, proszę mamy?

JAN JAKUBOWSKI



— Nie, proszę zebranych. Projekt z kaszką manną pierwszego czerwca nie przechodzi. Nie ten etap...

Pisane z Poznania

Kochana Marylko!

Jestem w Poznaniu dopiero drugi dzień, ale bardzo Cię Kocham, więc p.szę.

Na dworcu musiałem nie co poczekać. Cioci Wandzi, która wyszła po mnie, prze słyszała się peron. Ciocia szukała mnie na „De“, a ja przyjechałem na „Be“. Tak to jest, jak ludzie nie uważają na lekcjach. Dlatego mówię Ci: ucz się abecadła, bo jak się nie na uczysz, będziesz później za karę musiała zapowiadać pociąg, na dworcu i ludzie się będą źle o Tobie wyrażać, jak ciocia Wandzia.

Poznań nazywa się wielkim miastem: dlatego ludzie jeżdżą tramwajami. Ciocia mówi, że tramwaj jest to takie coś, co nie jeździ, kiedy ma jechać, a jak przyjeżdże, to jeździ do wozowni albo nową trasą, i że ona tego nie rozumie. Ja też i ty pewnie także nie, więc jak przyjeżdże, to ci narysuję, jak tramwaj wygląda. Tylko przygotuj zieloną i czerwoną kredkę, bo tramwaje są dwubarwne: jak pierwszy wóz czerwony, to drugi — zielony i odwrotnie. Taki przepis.

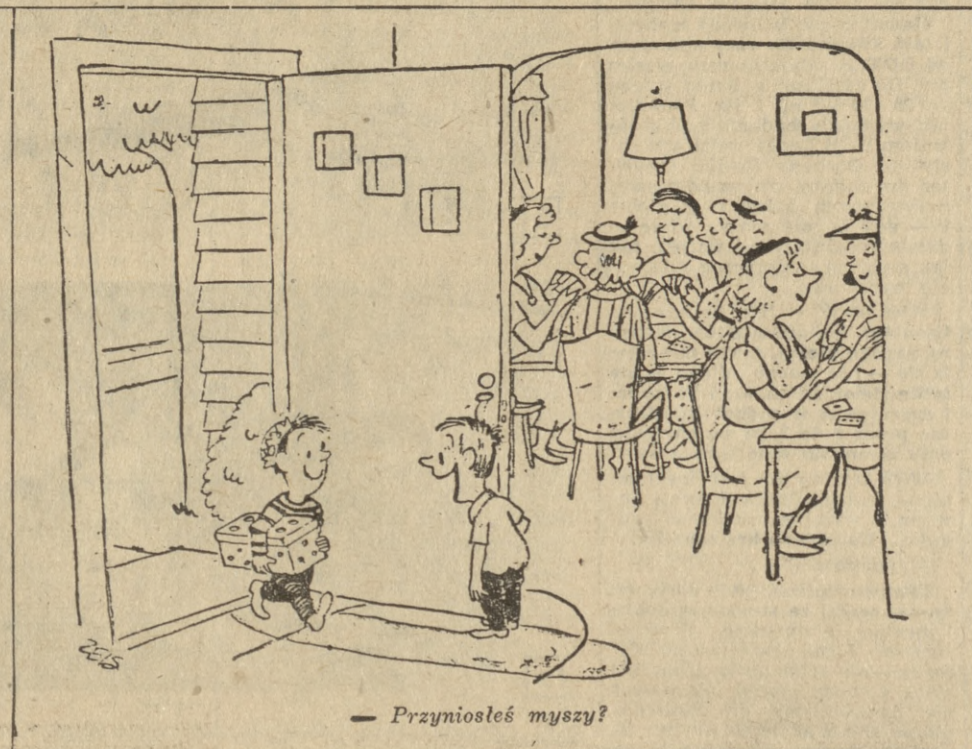
W tramwaju nauczyłem się jednej rzeczy i sobie ją powtarzałem przez cały dzień. — Wujek Antoś, kiedy usłyszał, powiedział, że mogę już być konduktorem, bo umiem już mówić „pięciu groszy nie posiadamy“, tylko jeszcze trochę podrośnię, chyba że się w rachubie MPK ktoś zmieni i zmieni rano grube na drobne, ale chyba nie, bo w poznańskich tramwajach zmienia się — lecz numery linii.

Po południu wyszliśmy oglądać miasto. Pięknie się buduje. Bardzo mi się podobali Ratusz i Kościółki. W Domu Dziecka kupiliśmy zylетки dla wujka, a w pedecie miałem przykrość,

W DOBIE WYSOKOŚCIOWCÓW



— Prawda tatusiu, że ja też niedawno zbudowałem?



— Przyniosłeś myszy?

bo architekt nie przewidywał, Ciocia Wandzia początkowo szukała i dopiero, jak jej powiedziałem, że już szósty raz biegamy w kółku po tym piętrecie i że ja już dłużej nie mogę zeszliśmy na dół, dopiero ułożyłem sobie we „Fregacie“. Szczęście, że nie była w remoncie. Tam ciocia spytała mnie, czy muszę akurat wtedy, kiedy nie ma warunków. Pomyślałem sobie, że ten pan architekt, co dla gości nie przewidywał, pewnie nigdy nie musi. Ale ja co, architektury nie kończyłem, chodzę dopiero do trzeciej klasy.

Potem poszliśmy oglądać stragany, które tu stoją na ulicach, jak u nas w czas jarmarku. Bardzo pięknie to wygląda, taki stragan, zwłaszcza gdy jest przez cały dzień zamknięty, jak ten przy narożniku ul. Ratajczaka i Czerwonej Armii. Powiedziałem cioci, że takie stragany, to chyba dają wspaniałe warunki, zwłaszcza wieczorem. Ciocia jednak nie słyszała, bo właśnie kupowała chleb i masło i akurat przejeżdżał samochód i masło zrobiło się szare, a ciocia czerwona, i powiedziała, że z tym kurzem trzeba by skończyć, a papier powinien być. Wtedy ja powiedziałem, że można by w straganach dodawać małe elektryczne troluksy do odkurzenia towaru w domu. Wówczas ta pani, co sprzedaje, popatrzyła na mnie dziwnie i oznajmiła cioci, że jest ciekawa, co z takiego dziecka będzie w przyszłości. No więc poinformowałem ją, że będę zoferem, ale ciocia wzięła mnie za rękę i poszliśmy do innego straganu.

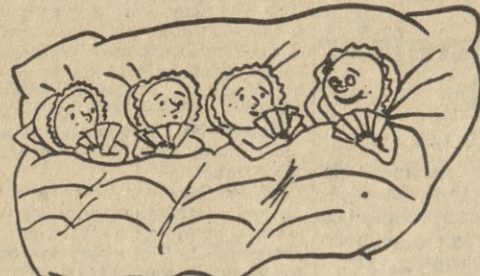
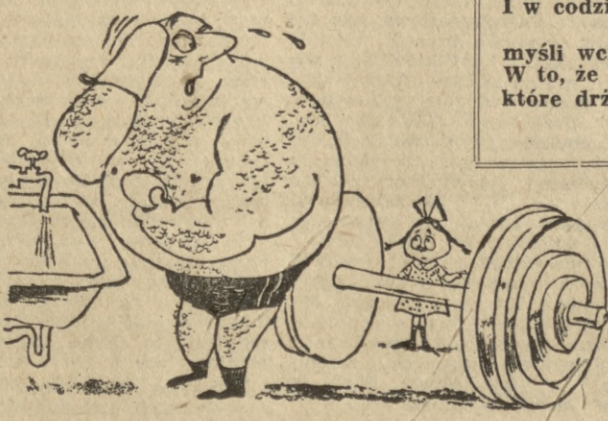
Tam było przyjemniej — pełno książek o różnokolorowych okładkach i taki młody sprzedawca powiedział do cioci: „Czego sobie uroczę dziecko życzy,

do przeczytania?“ Ciocia zarumieniła się z radości i zaraz kupiła sobie „Lalkę“, a mnie los. Los był szczęśliwy, wygrał 1.50 zł. Tylko że potem długo nie mogłem się zdecydować, co wybrać za tę kwotę: „Racjonalne karmienie nie mowlat“, czy „Zawory w pompach ssąco — tłoczających“. Innych za 1.50 zł nie było, wziąłem więc te zawory, niech będą zawory.

W domu wieczorem z okazji masła była dyskusja o remontach w Poznaniu. Wujek Antoś miał pozytywne zdanie. Mówił, że to dobrze, że się remontuje restauracje i sklepy, tylko że rzecz nie jest prze myślana, wszystko siup od razu, bo zawiniła jakaś koronacja. Chciałem się spytać, o którego króla wujkowi chodzi, ale byłem już śpiący, więc powiedziałem tylko, co ten pan powiedział cioci: Wandzi przy straganie i poszedłem spać.

Aha — chciałaś przyjechać podobno na Targi. To świetnie. Wtedy już Poznań będzie inaczej wyglądał. Będziemy oglądać rzeczy naprawdę ciekawe. Twój

KAZIO



— Nudny ten bridge, może sobie teraz trochę pokrzykujemy!...

W szkole

Pewien inspektor szkolny, chcąc przekonać się o inteligencji dzieci, powiedział:

— Postawię wam dwa pytania. Kto odpowie pierwszy, będzie zwolniony z odpowiedzi na pytanie drugie. Pytanie brzmi: Ile włosów mieści się w końskiej grzywie?

Po długiej przer-

wie Janek podnosi rękę w górę.

— W końskiej grzywie mieści się 7 340 165 włosów.

— Skąd wiesz tak dokładnie? — pyta zdziwiony inspektor.

— Jestem zwolniony z odpowiedzi na drugie pytanie, panie profesorze — mówi z triumfem Janek.



— Nie wie pan, że w Poznaniu obowiązuje ruch bezdźwiękowy?

SONET dla najmłodszych czytelników

Sto lat temu, gdy byłem jeszcze bardzo mały, księżyc miał bujne włosy i czuprynę gęstą. W nocy tymi włosami ruszał nader często tak śmiesznie, że się wszystkie gwiazdki z niego śmiały,

Jednakowoż przed dziewięćdziesięcioma laty, gdy ospa napelniła cały świat cierpieniem, księżyc, który ze strachu uciekł przed szczepieniem — stracił włosy, wąsiska i stał się dziobaty.

Z własnej winy na niebie gołą pałą świeci. Ze uciekł przed szczepieniem żałuje dziś szczerze, I w codziennej wędrówce wśród gwiazdnej zamieci

myśli wciąż o straconej na wieki plerezie. W to, że los jego będzie przestrogą dla dzieci, które drżą przed szczepieniem, w to, kochani, wierzę...

EDMUND KNOPKIEWICZ

Rysunki:

„Eulenspiegel“, „Ogoniok“.

„Świat“, „Ullenspiegel“, „Zeit im Bild“ oraz własne.

— Tatusiu, chciałam się trochę pobawić. — Daję słowo, że nie zepsuję...

